

MONT EVEREST

IGRASZKI
ZE ŚMIERCIĄ

tekst: Zbigniew Bąk

S poglądam w oczy pana Ho, wspinacza z Tajwanu który razem z nami podjął się trudu ataku szczytowego na Mount Everest. Są pełne rezygnacji i zwątpienia, cały blask życia uleciał gdzieś bezpowrotnie. Sonam, jego Szerpa a mój przyjaciel próbuje coś jeszcze do niego przemówić ale nic do niego nie dociera. Nie dziwne, jesteśmy na wysokości 8750m.n.p.m. Całonocna wycieńczająca wspinaczka poprzedzona wielodniowym wysiłkiem otępiła jego umysł i ciało. Tkwi tu niczym słup soli, niczym poprzednicy których mijaliśmy po drodze którzy w ostatnim śnie zamarzli tu na wieki. Czy jesteśmy go wstanie wyszarpać z tego marazmu i odrętwienia? Czy jest w stanie podjąć walkę o swoje życie i targnie jeszcze raz ciało do ostatniego decydującego wysiłku?

KATHMANDU – 50 DNI WCZEŚNIEJ

Po bezsennej nocy i setce kontroli którymi celnicy poddawali nasz sprzęt radiowo-elektroniczny podczas odprawy w Delhi, lądujemy nareszcie w Kathmandu - stolicy Nepalu i Himalajów skąd rusza większość wypraw w góry najwyższe.

Ani Staszek Budny, ani Magda Prask, ani nawet ja nie jesteśmy jednak wcale zmęczeni, emocje które ciągle nam towarzyszą podczas wyprawy pozwalają zapomnieć o trudach podróży. Na lotnisku wita nas Kriskhna, pracownik agencji Monterosa, która zapewni nam obsługę podczas całej naszej ekspedycji. Zamieszkujemy w hotelu Manang na Thamelu – turystycznej dzielnicy położonej w zabytkowym centrum miasta. Jak zwykle brakuje prądu, jest to tu normą i z żalem spoglądając na nieczynną windę, pokornie wnosimy nasze ciężkie bagaże na piętra hotelu. Po krótkim spacerze i sówitej kolacji w postaci dał bathu i pierożków momo lądujemy wyczerpani w objęciach Morfeusza.

W następnego dniach odbieramy cargo z naszym alpinistycznym sprzętem, sprawdzamy w agencji sprzęt z którego będziemy korzystali powyżej bazy wysuniętej oraz zakupujemy jedzenie, gaz i resztę sprzętu który będziemy używać powyżej bazy wysuniętej.

W oczekiwaniu na otwarcie granicy odwiedza nas Jeeran Shrestha który pracuje dla legendarnej już tu miss Holly – nie-

gdyś reporterki Routersa a która od lat 50 ubiegłego wieku spisuje wszystkie informacje dotyczące wypraw w Himalaje.

Nieoficjalne źródła donoszą że przez jakiś czas pracowała dla CIA ale ile w tym prawdy to nie wiadomo. Poznajemy też resztę uczestników ekspedycji z innych krajów, Luiggi Rampini z Włoch i Qobina z Malezji oraz naszego Szerpę Dawa Sherpa.

Ganesh – właściciel agencji ogłasza dobrą wiadomość, wkrótce otwierają granicę z Chinami i wyruszamy pojutrze z rana do Zhangmu .

Następują ostatnie przepakowania do beczek i worów transportowych.

Wieczorem na spotkaniu z szefem agencji poznajemy naszego kucharza Lila, nie rozmawia za bardzo po angielsku ale za to podobno robi świetne spaghetti co potwierdza Luiggi który był z nim w zeszłym roku na wyprawie. Człowiek agencji który pracuje w ambasadzie chińskiej w późnych godzinach wieczornych potwierdza uzyskanie wiz.

O 5.00 skoro świt aby uniknąć korków jedziemy bussem do granicy z Tybetem, a później do Zhangmu po chińskiej stronie które znajduje się na wysokości 2300m.n.p.m. co nas bardzo cieszy, bo nasze organizmy będą się pomału aklimatyzowały. Granica dostarcza pierwszych wrażeń, panuje atmosfera ciągłej inwigilacji i nerwowości. Mnóstwo tu tajniaków, wojska i celników, przechodzimy przez wiele kontroli, przeglądają nasze aparaty, kamery, książki i czasopisma w poszukiwaniu zakazanych treści związanych z Dalajlamą. Nasz sprzęt i żywność w beczkach przenoszony jest przez miejscową nepalską ludność przez graniczny most na plecach, a dopiero za granicą ładowany na samochody.

Z Zhangmu przymieszcza się do Nyalam na 3700m.n.p.m. tzw. Autostradą Przyjaźni łączącą granicę nepalską z Lhasą – stolicą Tybetu. Sama „Kraina Śniegu” z jej 2 milionową społecnością rozciąga się na obszarze 1,2 miliona km kwa-

 **Poprzednia strona**

XXX
fot. xxxx

 **Bieżąca strona**

● **Góra:**
XXX
fot. xxxx

● **Dół:**
XXX
fot. xxxx



dratowych. Średnia wysokość terenu to 4000m.n.p.m. dlatego po przyjeździe ze względu na rozrzedzone powietrze wymagana jest aklimatyzacja i dodatkowa ochrona przed słońcem.

Mimo trwającej 50 lat chińskiej okupacji Tybetańczycy nadal pielęgnują swoją tradycję. Jednym z ich przejawów jest popularność klasztorów.

Droga którą przemierzamy a której nie powstydił by się żaden kraj alpejski wiedzie kręto wzdłuż rzeki. Zaczynamy „łapać” wysokość, kiedyś wędrowcy cierpieli po nagłym wejściu w góry. Oszołomieni chorobą wysokościową, nazywali górskie korytarze przełęczami „dużego” albo „małego bólu głowy (zdaniem chińczyków dolegliwości występowały po zjedzeniu dzikiej cebuli). Pogoda bardzo słoneczna ale temperatura oscyluje wokół 0 stopni. Po południu diametralna zmiana, pada śnieg z deszczem do czego dołącza wiatr i robi się mało przyjemnie. W ramach poprawienia aklimatyzacji wychodzimy na pobliski szczyt na 4050m.n.p.m. obowiązkowe miejsce do zaliczenia wszystkich wypraw które zmierzają do bazy pod Everestem i Cho Oyu. Ruszamy do Tingri na 4300m.n.p.m. piękną asfaltową drogą, w zeszłym roku była jeszcze szutrową i nie należała do najprzyjemniejszych ale Chiny obecnie pompują w swój kraj miliardy juanów i widać tego efekty. Mijamy przełęcz Tonla Pass na 5050m.n.p.m.

W oddali malowniczo bieli się Sisha Pangma, jeden z czternastu największych ośmiotysięczników na Ziemi. Niby w zasięgu ręki, niby tak blisko a tak daleko...

Zaprzysiężamy się z ekspedycją Dana Mazura, spotykamy nawet naszą rodaczkę Elę z Calgary której brakuje już do Korony Ziemi tej ostatniej góry gór, towarzyszy jej mąż Gordon ze Szkocji. Reszta to Australijczycy, Serbowie, Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Hiszpanie , Rosjanie no i oczywiście Chińczycy. Everest jak gigantyczny magnes przyciąga ludzi z całego Świata.

BASE CAMP – 35 DNI WCZEŚNIEJ

Wczesne śniadanie i dalej w drogę wprost do Base Camu na 5150m.n.p.m.

Krajobraz jest isticie marsjański, tylko skały, kamienie i niesiony przez wiatr piach. Mijamy po lewej klasztor Rongbuk i w końcu dojeżdżamy do bramy bazy gdzie stacjonuje chiński oddział wojskowych.

Poznajemy naszego drugiego kucharza Duderasa i jego pomocników tybetańskiego pochodzenia Pasanga i Damdiego.

Przy rozpakowywaniu bagaży popadamy w lekki konflikt z żołnierzem który zareagował bardzo nerwowo gdy próbowaliśmy wywiesić polską flagę na maszcie z bambusa. Po obiedzie udajemy się na krótki spacer po plateau, przygnębiające wrażenie robi symboliczny cmentarz osób które zginęły na Everescie a który to łśni w słońcu w oddali, wydają się taki niewinny a jednak nie wolno lekceważyć tej góry, jak i zresztą żadnej innej...

Układamy ze Staszkiem kopiec z kamieni z płytą ku pamięci naszego rodaka Tadeusza Kudelskiego który wiele lat temu zdobył Mount Everest od tej strony lecz niestety stracił życie podczas powrotu z niego.

Od rana słonecznie, lekko wieje. Na szczycie jednak widać silny wiatr który podrywa tumany śniegu tworząc efektowny pióropusz ku wschodowi. Wg naszych prognoz które dostajemy z Polski: na szczycie - 30 stopni i 135 km/godzinę.

Przybywa coraz więcej namiotów z innych ekspedycji. Dowiedzieliśmy się że w zeszłym roku tak późno otworzyli granicę dla wspinaczy od strony Tybetu, bo dwa lata temu podczas wnoszenia zniczu olimpijskiego zginęło kilkunastu chińskich alpinistów i musieli posprzątać ciała które leżały na drodze ku szczytowi. My czujemy się ogólnie dobrze nie licząc lekkich katarów i kaszelków.

Z samego rana warzenie naszego ekwipunku który będzie zapakowany na jaki. Te długowłose zwierzęta warzące ok. tony są tu niezastąpione. Dają mięso, ser, skórę, wełnę z których miejscowi wyrabiają obuwie, ubrania, koce, namioty, ba, nawet fajno używane jest jako opał bo bardzo długo utrzymuje żar. O transportowych właściwościach nie wspomnę. Całego naszego wyposażenia jest ponad półtorej tony. Jeszcze ostatnie pokrzykiwania, podciągnięcia po pręgów i wreszcie wyruszamy do Middle Campu na 5800m.n.p.m. (obozu pośredniego między bazą BC a obozem wysuniętym ABC).

Do obozu dochodzimy w dość dobrym czasie ale nasze kaki są daleko w tyle, więc korzystamy z gościnności chińskiej ekspedycji i w ich namiocie kuchennym przesiadujemy zimny i wietrzny wieczór. Częstość nas tybetańską herbatą z dodatkiem ja-

czego masła, suszonym mięsem a nawet chińską wódką którą pijemy z naparstków. Chcemy podziękować za gościnę i wyjść ale nie pozwalają nam i dopiero jak zjadamy z nimi wspólną kolację którą na naszych oczach bardzo starannie przygotowuje ich kucharz pozwalają się pożegnać. Ludzie gór to jednak solidna firma nieważne jakiej narodowości.

Dalszy trekking wzdłuż niekończącego się lodowca Rongbuk do ABC – bazy wysuniętej, po lewej stronie mijamy efektowne seraki wielkości domów czteropiętrowych. Droga coraz to ginie wśród skał i tylko ekskrementy jaków których tu pełno pomagają nam ją odszukać.

W końcu pojawiają się na wzgórzu pierwsze namioty chińskiej ekspedycji. Nasza baza wysunięta staje na wysokości 6400m.n.p.m. Przygotowujemy na tym skalistym terenie platformy pod namioty osobiste i stawiamy je w silnym wietrze. Powstaje też kuchnia, resztę postanawiamy zrobić jutro, jednak 22 km lodowca na tej wysokości dało się nam solidnie we znaki.

O poranku dalsza część urządzania obozu, powstaje mesa, toaleta i rozkładamy resztę namiotów osobistych. Wypakowujemy nasz ekwipunek z beczek i worów transportowych. Każdy ruch na tej wysokości to mega wysiłek, podczas 8 godzinnego snu tutaj człowiek zużywa tyle energii co podczas jednogodzinnego biegu na poziomie morza. Ciśnienie spadło do 450 hPa. Temperatura w namiotach w nocy –9 stopni, nie najgorzej. Przy innych ośmiotysięcznikach a nawet przy Evereście od południa bazy powstają 1.5 – 2 km niżej a my jesteśmy już praktycznie na wysokości Campu II południowej strony, nikt nie powiedział że będzie łatwo...

Wpadamy na odwiedziny do naszych znajomych Chińczyków, większość z nich tak naprawdę to Tybetańczycy zatrudnieni przez Chiny, jest ich spora grupa, po północnej stronie Everestu to oni rozdają karty i trzeba się z nimi liczyć, to zupełnie inni ludzie których znamy z polskich bazarów, targowisk i barów. Twardzi ale życzliwi, zahartowani na niedogodności ale gościnni i weseli.

W oddali widać część ich grupy zakładających liny poręczowe na drodze do obozu I. Cała ich ekspedycja to ponad 60 uczestników. W ich obozowisku w najlepsze grają sobie w karty na pieniądze, palą papierosy, popijają piwo, piknik na całego.

Ale wiemy że to tylko pozory, są naprawdę dobrzy, bardzo dobrzy, niektórzy byli już na szczycie po 8 razy

NORDCOOL – 28 DNI DO ATAKU SZCZYTOWEGO

Wynosimy namioty, gaz i jedzenie do Campu I na 7040m.n.p.m.

Droga najpierw wiedzie przez wszystkie obozy wzdłuż skalnego osuwiska aż do tzw. Crampon Point gdzie zakładamy raki, potem przez olbrzymie lodowe pole aż do zbocza lodowo-śnieżnej góry zaporczonej przez chińską ekipę która jak co roku musi pierwsza zdobyć szczyt po tej stronie.

Stok o 50-70 stopniowym nachyleniu daje przedsmak dużych emocji które przed nami. Łapczywie łykamy każdy haust po-

wietrza tak ubogiego w potrzebny nam tlen, każdy krok to nie tylko walka ciała z górą ale walka umysłu z ciałem. Zmuszenie go do jeszcze jednego wysiłku. W tym bezlitosnym dla człowieka miejscu nie mamy prawa chorować, nie możemy sobie pozwolić choćby na cień słabości. Nie ma wyboru: musimy znosić ból i cierpienie i za wszelką cenę iść do przodu. Głęboka lekcja kształtująca charakter osobnika z „cywilizowanego” świata.

Pokonujemy pod koniec drabinę która rozpostarta jest nad szczeliną na finiszu drogi do obozu pierwszego. Na niewielkiej śnieżnej platformie już są zarezerwowane miejsca pod namioty dla większości ekspedycji, bo podobno gdy sezon osiągnie tu kulminację nie ma gdzie stopy włożyć. Topimy śnieg na wodę tak niezbędną do prawidłowego tu funkcjonowania organizmu. Średnia ilość wypitych płynów w górach wysokich powinna się kształtować

w okolicach 4 litrów w ciągu doby. W przeciwnym razie grozi nam odwodnienie i choroba wysokogórska a w najgorszym wypadku śmierć. Przychodzą na myśl zdanie wypowiedziane przez Antoine de Saint –Exupery

„ Woda, nie jesteś niezbędna do życia, jesteś samym życiem” – święte słowa.

Schodzimy do ABC po mroźnej i średnio przespanej nocy mijając po drodze całe rzesze nepalskich Szerpów oraz wspinaczy chińskiej ekspedycji wynoszących ekwipunek dla wypraw które niebawem nadejdą.

Czas na regenerację organizmów, schodzimy do Base Campu pokonując 22km odcinek lodowca Rongbuk jednym ciągiem. Mijamy tego upalnego dnia jak się później okazało ok.150 jaków wynoszących w górę sprzęt dla ekspedycji do bazy wysuniętej, oraz prawie setkę wspinaczy którzy wyszli celem aklimatyzacji do Middle Campu na nocleg.



Targi Turystyki i Sportów Zimowych ZIMA 2010



oferty regionów górskich
sporty zimowe
ośrodki wellness & spa
wakacyjne oferty last minute

11-12 Września
Hala IASE
Wrocław



Północna strona Everestu dorównał już swojej siostrze z południa zamieniając to miejsce w całkiem dochodowy biznes. Duża część osób powoli próbuje swoich sił od Tybetu, i taniej to, i organizacja podobna, oszacowaliśmy że tylko w tym roku jest ok. 100 osób atakujących szczyt nie licząc obsługi i Szerpów.

Powracamy do ABC w celu dalszej aklimatyzacji i założenia Campu II.

Wychodzimy do „jedyńki” wynosząc resztę ekwipunku. Po drodze niestety nieszczęście, na naszych oczach, może 200 metrów przed nami zawala się gigantyczny serak w ¾ drogi do obozu pierwszego, schodzi lodowa lawina która pogrąża pierwsze śmiertelne ofiary w tym sezonie, są to Węgrzy. Następuje natychmiastowa akcja ratunkowa, niestety udaje się tylko uratować jedną osobę. Zostają zerwane wszystkie liny poręczowe na tej wysokości. Gigantyczne lodowe bloki tarasują dalszą drogę. Zawracają do ABC wszyscy w tym dniu wychodzący wspinacze.

Chiński zespół następnego dnia wytycza nową drogę do Campu I i prowadzi przez nią poręczówki.

I znowu dnia kolejnego ponownie wychodzimy do obozu I gdzie spędzamy noc.

Część grupy wychodzi do obozu II na 7700m.n.p.m. Zostawiamy tam depozyt w postaci gazu, namiotów i jedzenia i w myśl zasady „działaj wysoko, odpoczywaj nisko” schodzimy z powrotem do jedynki na nocleg. Wieje bardzo silny wiatr, namiot w Campie I jest zasypany do połowy w śniegu, z jednej strony to dobrze bo nie odfrunie ale trochę trzeba go odśnieżyć bo niedługo zniknie całkowicie i ciężko go będzie odnaleźć.

Dowiadujemy się że wkrótce wyrusza do ataku chińska ekipa. O decyzji nawet wspinacze dowiadują się na pół godziny przed wyjściem. Wszystko trzymają w tajemnicy. Decydujące rozkazy przychodzą z Lhasy. Z naszych prognoz też wynika że mamy szansę na 3-4 dniowe okno pogodowe. Aleksander Abramowicz Summit jest przeciwny atakowi. Twierdzi że zabraknie nam jednego dnia na powrót.

 **Poprzednia strona**

XXX
fot. xxxx

 **Bieżąca strona**

XXX
fot. xxxx

-Idziemy! jednogłośnie decydujemy się na wyjście następnego dnia, mamy dosyć stagnacji i widzimy szansę na sukces.

ATAK SZCZYTOWY 8300M.N.P.M.

Nareszcie konkretna akcja, po wielotygodniowym aklimatyzowaniu i wyczekiwaniu na odpowiednią pogodę nastąpiło zielone światło, wyruszamy na atak szczytowy. Wprawdzie dobre prognozy nie pokrywają nam się z jednym dniem powrotnym ale mamy dosyć niepewności i ruszamy do obozu I na 7050m.n.p.m. Lekko wieje, słońce w zenicie świeci ostro. Razem z nami rusza zespół Tajwańczyków LI i Ho razem z Szerpami Sonamem i Kibim.

Dochodzimy dość szybko do „jedyńki”, wieje tu spory wiatr ale nie psuje nam to humorów. Topimy śnieg na zupę i herbatę i o zmroku idziemy szybko spać, jutro dość

wyczerpujący odcinek do obozu II.

Skoro świt ruszamy na 7700m.n.p.m. do „dwójki”. Na przełęcz wieje ostry wiatr co ze spadkiem temperatury nie ułatwia zadania. Dobrze że cały prawie odcinek to śniegowy stok o nachyleniu ok. 50 stopni. Raki z łatwością wgrzają się w lodowo-śnieżną skorupę. Raz za razem szarpie nami od wschodu gwałtowny podmuch wiatru, cała trasa jest zaporęczowana i wpinamy się za każdym razem do naszej uprząży lecz za każdym razem rodzi się myśl czy i teraz poręczówka wytrzyma czy pofuniemy na dół ku lodowcowi. Ostatni odcinek to same skały gdzie stoją nieliczne namioty pozostałych wspinaczy. Przy silnych podmuchach wiatru rozstawiamy i swoje schronienie choć to nie łatwa sprawa i zajmuje nam to co najmniej pół godziny. Wyczerpani przygotowujemy posiłek wiedząc że dopiero jutro nastąpi najgorszy i najdłuższy etap łącznie ze zdobyciem szczytu. Próbuje usnąć



ale na tej wysokości i w tych warunkach to ciężkie zadanie.

Camp III czeka na nas na 8300m.n.p.m. Droga wiedzie pośród skał pod sporym kątem nachylenia. Tu już zaczynamy używać tlenu z butli który wspomaga proces oddychania w „Strefie Śmierci”. Powyżej 8 tysięcy jest tu go zaledwie 1/3 tego co na poziomie morza. Człowiek przeniesiony z tego pułapu na tą wysokość po jakimś czasie stracił by świadomość co doprowadziło by go w niedługim czasie do zgonu. Pogoda nie ładuje optymizmem, całe niebo zasłaniają chmury, wieje przenikliwy wiatr który prędkością wg prognoz sięga 60 km/h.

Rozstawiamy swój czerwony namiocik i w jego zacisznym wnętrzu uzupełniamy płyny które są tu tak niezbędne do normalnego funkcjonowania. Co i raz zakładamy maski i przez 15 minut oddychamy na czystym tlenie ustawiając przepływ regulatora na 1

litr na minutę. Przychodzi Sonam i częstuje nas Tajwańskimi ciasteczkami oraz suszonym mięsem z jaka. Czas upływa na rozmowach bo o spaniu nie ma mowy.

O 21 czasu Nepalskiego gotowi jesteśmy do najważniejszego zadania. Wychodzimy w ciemność, na niebie widać gwiazdy i księżyc, wydają się na wyciągnięcie ręki, wieje ostro co przy –30 stopniach daje solidnie w kość. W namiotach Tajwańskich sąsiadów też widać ożywienie. Ruszam sam w kierunku grani, za mną idzie Magda w parze z Dawą. Droga wiedzie ostro ku górze, pierwszy charakterystyczny punkt to Mushroom, skała w kształcie grzyba, to teoria bo jedyne co widać to mały odcinek drogi z poręczową liną oświetlany światłem czołówki. Dochodzę na grani, dobrze że jest noc bo ekspozycja musi być oszłamiająca, od strony Nepalskiej 80 stopniowa śnieżna przepaść. Idę metr obok i czuję mimo szalejącego zimnego wiatru krople potu na plecach. Wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach. Zmierzam w kierunku szczytu i nagle w świetle latarki pod skałą widzę śpiącą postać. Za chwilę ogarnia mnie odrętwienie bo zdaję sobie sprawę że to ciało jakiegoś alpinisty któremu szczęście nie dopisało, usnął nieświadom że już nigdy się nie obudzi. Zatrzymuję się na chwilę żeby pomodlić się za duszę nieszczęśnika, zdaję sobie sprawę że był to czyjś syn, brat, może mąż i że już nigdy jego bliscy nie doczekają się na jego powrót. To zaiscicie tylko zwiększa moją ostrożność, każdy krok na granitowej skale staram się stawiać rozmyślnie dwa razy sprawdzając pewność chwytów i stąpnąć oraz dobór odpowiedniej liny poręczowej. Jest tu całe mnóstwo starych, poprzecieranych poręczówek i łatwo o błąd.

Mijam kolejno tzw. step I i II. Są to pionowe uskoki, na drugim dla ułatwienia zainstalowane są aluminiowe drabiny, sporo się trzeba natrudzić żeby to pokonać na tej wysokości. Oddech jest nierówny, świadomość że mały błąd może skończyć się tragicznie potęguje napięcie. Mijam kolejne ciała, nikt tu ich nie znosi na dół, leżą w spokoju ku przestrodze kolejnych śmialców. Przy stepie III mijam ciało Franka, towarzysza wspinaczki naszej rodaczki Ani Barańskiej z zeszłego roku.

Uff, wszystko jest to takie poruszające a zarazem każe zachować zimny dystans do obecnej sytuacji.

Na horyzoncie wschodzi słońce i budzi się nowy dzień który napawa mnie opty-

mizmem, do pokonania ostatni skalny travers, ostatnie pole śnieżne i jest na wyciągnięcie dłoni, Mount Everest, Sagarmatha, Chomulungma czy jak kto woli Dach Świata, wyżej się nie da. Ze wzruszenia łyż kręcą się w oczach, tyle poświęceń, wyrzeczeń, i udało się, sukces!

Do głowy przychodzą setki myśli, spoglądam w około, na nepalskiej stronie cisza, nikogo, słońce dopiero zaczyna swoją wędrówkę. Czas jakby stanął w miejscu zawieszony w otaczającej przestrzeni. Widok o którym można tylko pomarzyć, a może to psychika potęguje otaczające piękno...?

Rozsądek każe mi robić pamiątkowe foty i zmykać stąd czym prędzej. Na tej wysokości latają przecież samoloty. Mijam na zejściu resztę grup. Na wysokości stepu III Sonam próbuje nakłonić pana Ho do dalszej, jakiegokolwiek akcji ale ten jest już tak zrezygnowany i wyczerpany że na nic się zdają jego wysiłki.

- Na górę czy na dół ? - pyta

Wrzeszczy do niego starając się przekrzyć wiatr, ale nic do niego nie dociera.

Z trudem udaje się go tego dnia sprowadzić do obozu III gdzie mają przymusowy nocleg co na tej wysokości jest loterią ze śmiercią.

Magda, Dawa i pan LI z Szerpą wkrótce po mnie zdobywają jako jedyni tego dnia wierzchołek. Schodzimy do Campu III, zejście jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż wejście, raki ślizgają się na granitowych płytach niczym łyżwy na lodowisku. Organizm ciągnie już na rezerwach. Z obozu III widzę pana Li któremu na zejściu zabrakło tlenu w butli i niczym jak w zabawce nakręcanej na kluczyk po prostu stanął w bezruchu, dopiero jego Szerpa wymienia mu butlę i pomału wraca na obroty.

Niedługi odpoczynek w „trójce” i schodzimy do obozu II.

Wiatr się wzmacnia i w nocy dochodzi do 100km/h. O spaniu nie ma mowy, oprócz naszego znajomego Włocha jesteśmy sami w obozowisku.

W szalejącym wietrze następnego dnia pakujemy namiot i schodzimy do Campu I na Nordcool, w górę wychodzi tylko dwójka Niemców, sami zresztą jak mówią nie wiedzą po co. Szarpie naszymi ciałami niczym latawcem na wietrze, ledwo utrzy-

mujemy się na nogach ale brniemy w dół z upartością ośla wiedząc że na dole czeka na nas spokój i cisza. Byle dalej od tego wietrznego piekła. W jedyne witają nas zaprzyjaźnieni Szerpowie gorącą herbatą i ciasteczkami. Smakują nieziemsko. Chwila odsapnięcia i dalej na dół do ABC, mijamy dużą ilość osób którzy zwabieni niedługą poprawą pogody prą do góry w oczekiwaniu na możliwość ataku z obozu I.

Mijamy rodzinę Kalifornijczyków którzy ze swoim 13-letnim synem chcą pobić rekord świata najmłodszej osoby na Evereście. Wg mnie to szaleństwo ale każdy jest kowalem swojego życia tylko czemu i swojego dziecka...

Na dole przy Crampon Point wychodzi nam naprzeciwko z gorącą herbatą nieoceniony Damdi, nasz pomocnik kucharza którego uprzedziliśmy o zejściu przez CB. Do obozowiska dochodzimy na resztkach sił, jeszcze kolacja i zasłużony odpoczynek choć o dziwo pewno dzięki emocjom nie chce się spać.

Świadomość że nasza przygoda się kończy napawa nas lekkim smutkiem.

Himalaizm swoimi regułami podobny jest do boksu lub partyzantki, doskok, uderzenie i odskok. Ktokolwiek zrobi za szybki krok lub się spóźni ze swoimi poczynaniami ryzykuje nokautem i porażką.

Wyczekanie odpowiedniej pogody w ekstremalnych warunkach, szybkość poczyznań i decyzja o ataku we właściwym momencie to kluczowa sprawa podczas całej ekspedycji.

Zdobycie Everestu od strony Tybetu jest trudnym zadaniem, już sam lodowiec Rongbuk ze swoją 22 km trasą zabiera podczas wielokrotnego przemierzania na wysokości ok. 6 tysięcy metrów wiele siły.

Statystyki mówią o 20 % sukcesów z tej strony co w porównaniu z nepalską stroną i 50% wynikiem jest bardzo wyraziste. W parę dni po nas zostaje pobity rekord najmłodszego wspinacza który zdobył Dach Świata, zostaje nim 13- letni Jordan Romero z Kalifornii. Od strony Nepalskiej pobija też swój rekord 49 – letni Apa Szerpa który wchodzi na szczyt 20 raz !. Po południowej stronie działa „The Extreme Everest Expedition 2010”, 31 osobowa gru-

pa Szerpów którzy mają za zadanie oczyścić ze śmieci Everest powyżej 8 tysięcy metrów. W planach mają za zadanie znieść ok. 2 ton śmieci. 2011 rok ma być w Nepalu rokiem turystyki, Nepalczycy dla wszystkich zdobywców Sagarmathy jak nazywają Dach Świata przewidują bezpłatne wizy pobytowe w tym czasie. Każdy chce zaznaczyć swoją obecność na Górze Gór.

Większość osób skupia się w relacjach z ataków szczytowych na stepach I, II, III jeżeli chodzi o trudności techniczne, lecz wg nas cała droga granią ku szczytowi to nieustanna walka wspinacza z nagą skalą i należy sceptycznie podchodzić do opisów które bagatelizują wiele aspektów.

Komercja którą wszyscy tak piętnują jest tylko solidną organizacją i zapewnieniem bezpieczeństwa śmiałkom którzy zaryzykują wiele ażeby zdobyć górę gór. Trzeba sobie zadać tylko najpierw pytanie: czy warto ryzykować to co najcenniejsze dla tego trofeum? Potem może być za późno...●

 Bieżąca strona

XXX
fot. xxxx

